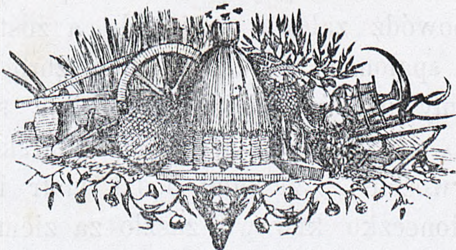
Tom XII.  **Nr. 11.**

11. kwietnia **1865.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Obraz Bogarodzicy w Bołszowcach.

Spłoszone ptactwo ze skał ulatuje a pędzi wichrem w jedną stronę, jakby mu groziło wielkie jakieś niebezpieczeństwo. Kracze kruk nad zagrodą, zwołuje braci i leci na krwawe uczty... Bocian porzucił strzechę wieśniaczą, zatoczył koło nad miłą mu starą zagrodą i gniazdem, a na pożegnanie zaklekotał ludziom żałośnie i odleciał za innemi ostatni, wierny a stary przyjaciel... Psy wietrzą w jedną stronę a wyją, że aż mrowiem przechodzi, kładą uszy po sobie, kryją ogony a skomląc szukają bezpiecznego schowku. Bydło ryczy żałośnie a rwie się w oborach i chce lecieć hen w świat daleko...

Dość znaków dla ludzi, aby uchodzili z życiem i w ucieczce szukali schronienia. „Tatarzy! Tatarzy!“ wołają starsi, a na ich słowo, wszystko co żyje, komu życie miłe, opuszcza z gołemi rękami swe zagrody i mienie. Kobiety biorą swe niemowlęta na ręce a tuląc je do siebie w ucieczce szukają zbawienia, wyprzedzają młodzież a uchodzą w niedostępne błota, bagna i lasy. Starzy tylko, niemocni i kaleki, których nie ma

unieść komu, zostają w chatach i wraz z niemi stają się pastwą płomieni. Nie ma czasu myśleć o ich ratunku, bo dziki Tatar spada od wschodu gdyby piorun na spokojnych rolników polskich, jak powódź zalewa kraj cały a zostawia po sobie pustynie zasiane spalonemi kośćmi i krwią zbroczone pola.

— Uciekajmy dzieci, uciekajmy, wołają starzy, boć za nami śmierć albo stokroć cięższa niewola tatarska!...

Uchodzą strwożeni, a za nimi pędzi wiatr i krzyki tatarskie, a kiedy słoneczko krwawo zaszło za ziemię, zaświeciły szerokie i dalekie łuny i przyświecają nieszczęsnym w ucieczce. O obronie lub oparciu nikt nie myśli, bo nieprzeliczona dzicz tatarska zalewa jak morze całą okolicę daleko i szeroko...

Jadą szlakiem rycerze polscy, obrońcy wiary i ludu chrześciańskiego. Błyska na nich zbroja i pancerz, a koniki rżą radośnie, a echo pieśni „Bogarodzico Dziewico“ odbija się o brzegi Dniestru, i roznosi w około między ukryty ludek ufność i pociechę. Miny rycerzy dziarskie a wesołe, boć to rycerze chrześciańscy i miło im śmierć ponieść w obronie wiary świętej a koniki rzą radośnie, boć to ich czeka harc po tołuwach tatarskich...

Mała gromadka wojowników, lecz walna, a na czele ich jedzie sam pan hetman Kazanowski. Zdjęty politowaniem nad okropnym uciskiem chrześciańskiego ludu, i aby wiernych poddanych swego sioła uchronić od śmierci i łupieży hord tatarskich, zebrał pan hetman na prędce garstkę polskiego wojska a ufny w pomoc Najświętszej Panny śmiało rusza z pieśnią na ustach przeciw Tatarom. A spieszno mu się dzieje, bo nimby się z dalekich okolic zebrała szlachta i przybyła na pomoc, toby już poganin Tatar narobił wiele nieszczęścia, a z łupem i jeńcami wiernych uciekł zkąd przyszedł!

Gdy tedy pan hetman przeprawia się z wojskiem swojem przez Dniestr i gorące do Najświętszej Panny zanosi modły, błagając o pomoc dla ludu wiernego i polskiego oręża, postrzegł pies jego, wierny a nieodstępny przyjaciel, jakieś płótno zwinięte w trąbkę, co płynęło na Dniestrze; skoczył z promu do rzeki, pochwycił je w paszczekę, a wróciwszy z tem do

promu złożył je u nóg swojego pana. Hetman każe rozwinąć owe płótno, i z wielkiem zadziwieniem obaczył na niem piękny obraz Najświętszej Maryi Panny, piastującej na łonie swojem maleńkiego Jezusa, a choć ten obraz płynął po wodzie, cały był suchuteńki. Natchniony duchem boskim każe hetman ten obraz pokazać całemu wojsku i woła:

— Za pomocą tej orędowniczki naszej zgromimy jej nieprzyjaciół!

Wojsko ośmielone tym cudownym wypadkiem, niesie ten obraz jako tarczę nieprzebitą przed sobą z pieśnią „Bogarodzico Dziewico“, uderza śmiało na nieprzeliczone zastępy tatarskie. Gdzie błyśnie miecz polski, tam się potoczy z konia łeb tatarski łypiąc oczami, a miecze polskie z wizerunkiem Najświętszej Panienki, łyskają błyskawicą nad strwożoną hordą tatarską. Nie minęło i trzy „Zdrowaś Marja“ a jużci Tatarzy co uciekać mogą, uciekają, a nie mają czasu ni palić ni rabować, bo Polacy gonią a sypią wały z trupów pohańców...

Tak świetne zwycięztwo nad okrutnymi barbarzyńcami przypisał hetman szczególniejszej pomocy Najświętszej Maryi Panny. Rozkazał więc nad Dniestrem rozpiąć najśliczniejszy namiot, i wystawił w nim obraz znaleziony w Dniestrze, a wojsko całe polskie pada w pokorze przed nim na kolana i dziękuje za łaskę i miłosierdzie. Po skończonej modlitwie niosą ten obraz z największą czcią przed wojskiem, pan hetman ząś, aby ten obraz i w dalszym czasie od całego ludu chrześcjańskiego miał winną cześć i poszanowanie — odddał go i poruczył świątobliwemu zakonowi Karmelitów. To też wystawił dla nich r. p. 1624 w dziedzicznej majętności swojej Bołszowcach z muru kościół pod nazwą zwastowania Najświętszej Maryi Panny i klasztor, uposażył ich hojnie włością Niemczynem i innemi dochodami, a jako dobry i troskliwy ojciec swych wiernych poddanych opasał kościół z klasztorem warownym murem, gdzieby to lud chrześciański w czasie trwogi mógł się schronić z życiem i mieniem pod opieką Najświętszej Maryi w bezpiecznem miejscu.

Taką gadkę opowiadają o obrazie Najświętszej Panny w Bołszowcach.

Stoi do dziś dnia ten kościół na wyniosłem wzgórzu nad rzeką Lipą w cudownie ślicznem położeniu. Murowany z cegły na posadzie z kamieni ciosowych a opasany wraz z klasztorem murami, co by dziś jeszcze służyć mogły za fortecę. W sto lat po jego zbudowaniu, kiedy się począł chylić do upadku, zotał za staraniem arcybiskupa lwowskiego Wacława Sierakowskiego na nowo odbudowany, malowaniem ozdobiony i obdarowany hojnie przez księcia Jabłonowskiego. Dnia 12. Sierpnia 1777 nastąpiło jego poświęcenie przez sufragana xiędza Kryspina Cieszkowskiego i ukoronowanie obrazu z największą okazałością koronami, co je na ten cel przysłał sam ojciec święty Klemens VIII z Rzymu.

Szczęsny z Żółkwi.

Siejba.

Dźwięcznie dzwoni skowróneczek na wiosnę do woli,
Chodzi wieśniak pracowity po włóknistej roli.

W Bogu dajem tobie ziarno, ziemio ukochana,
A wzrost i plon leżą w ręku Niebieskiego Pana.

Gdy On skinie ręką szczodrą, zielenią się łany,
Chyli ciężką głowę swoją las zboża srebrzany.

Siejmy ziarno, by w narodzie hej głodu nie było,
Siejmy także aby w Polsce światło zaświeciło.

Siejmy ziarno prawdy świętej i miłość u siebie,
Aby cnota zajaśniała jak gwiazda na niebie.

Siejmy szkółki w naszej ziemi od włości do włości,
Aby młody ludek zakwitł w prawdzie i jasności,

By zakwitnął, jak zakwitnie kiedyś Polska cała,
Aby urósł w taką sławę, jaką ona miała,

By rozplemił się szeroko, jako w latko zboże
A Ty pomóż nam do tego, Wszechmocny nasz Boże.

Ty nam pomóż, by jaśniała chwała Twa prawdziwa,
By się Polska pocieszyła i była szczęśliwa.

Wincenty z Podkamienia.

Piękne przykłady.

Jan Wlazko, szlachetny kmieć z Piekar.

Będzie już temu trzy tygodnie, kiedy pewien kmieć z Piekar pod Krakowem wracał z Tyńca do domu. Droga mu wypadała przez Wisłę, która jeszcze była wtedy zamarznięta. Człowiek więc ów puścił się na lód, bo mu się na pewno wydawało, że jeszcze jest mocny. Ale jak to bywa pod wiosnę, lód już setnie nadtajał i kiedy biedaczysko szedł po nim, załamał się na największej głębi.

Nieszczęśliwy kmieć zginął już prawie pod wodą, ale jakoś za pomocą Bożą wydostał się na wierzch i chwyciwszy się oboma rękami lodu zaczął wołać o ratunek. Na krzyk tonącego powybiegali z swych chat wieśniacy z Tyńca, ale znać nie było w sercach ich za grosz litości, bo zamiast ratować co tchu nieszczęśliwego, stanęli sobie na brzegu, i poczęli się przypatrywać, jakby na jakie widowisko.

— Na miłość Bożą ratujcie kochani ludzie! — wołał nieszczęśliwy człowiek, a kości mu marzły od zimnej wody i ręce coraz bardziej kostniały.

Ale owi niepoczciwi i zatwardziali ludzie ani się ruszyli z miejsca. Wtedy ów biedny tonący kmieć prosił na Boga żywego, aby mu podali jaką żerdź albo sznura kawałek, aby się wyratował od śmierci — ale i tego nie chcieli zrobić zatwardziali wieśniacy z Tyńca, nie mając ani sumienia ani litości w sercu.

Ano patrzcie, kochani ludkowie, ów nieszczęsny, tonący człowiek przez całe dwie godziny trzymał się lodu i błagał i prosił o pomoc, ale wszystkie zaklinania odbiły się o niegodziwość ludzką, jakby o twardą skałę. I byłby już na pewno utonął nieborak, bo mu ręce strętwiały i osłabły od zimna i znużenia, gdyby Bóg nie nadesłał mu zbawcy.

Oto kmieć z Piekar, Jan Wlazko, usłyszawszy krzyk od Wisły, domyślał się zaraz, że tam jakiś nieszczęśliwy błaga ratunku i co tchu pognał na pomoc, a tak się spieszył zacny ten kmieć, że nawet ubrać się całkowicie nie mógł, jeno bez czapki i w jednym bucie pobiegł ku Wiśle.

Kiedy więc ów Jan Wlazko był już na brzegu, zdybał przewoźnika, Jana Heretyka i mówi mu, aby razem z nim pomógł ratować nieszczęśliwego. Ale ów przewoźnik nie daremnie się nazywał Heretyk, był to całkowity heretyk bez Boga i litości w sercu, bo zamiast pomagać, mówi do Wlazki:

— Owa! poco się tak kwapić, toć tam już nie ma ratunku!...

Tymczasem ów tonący wieśniak jeszcze raz słabym głosem krzyknął i polecił ducha Bogu, bo już dłużej lodu trzymać się nie mógł. Wtedy ów wspaniałomyślny kmieć z Piekar, Jan Wlazko, nie zważając na własne życie, rzucił się na lód, który tak pod nogami mu trzeszczał, jakby się lada chwila miał pod nim załamać — i za pomocą Boga i jego świętych aniołów dostał się do tonącego człowieka, wydźwignął go z wody i wyratował od pewnej śmierci!

Otoż wypisujemy wam nazwisko tego zacnego, litościwego kmiecia z Piekar Jana Wlazki na wieczną pamiątkę, bo wart, aby go każdy poczciwy Polak szanował i kochał za to, że tak miłosierny był dla swego bliźniego i z narażeniem własnego życia od śmierci go uratował!...

Nie minie go za to nagroda Pana Boga, który go tu na ziemi błogosławić będzie i w niebie mu ten czyn zapłaci sowicie!

A owi zatwardziali ludzie z Tyńca, co sobie bezlitośnem okiem patrzali na zgubę swego bliźniego, niechaj się modlą o przebaczenie, aby Bóg nie był w nieszczęściu taki twardy na ich prośby, jakimi oni byli dla nieszczęśliwego tonącego człowieka!

Wojtek ze Smolnicy.

O śledziach.

Pogadanka w chacie Grzegorzowej.

Jak to bywa w poście, Grzegorz kmieć z Wystrzelisk, kupił sobie śledzia i kazał go żonie przyprawić. Kiedy się gospodyni krzątała koło przyprawy, wszedł do chaty w odwiedziny organista z wioski, co był zarazem i nauczycielem. Poczęli sobie tedy rozmawiać i o tem i owem, jak to bywa mię-

dzy znajomymi ludźmi, kiedy naraz Grzegorzowa postawiła na stole śledzia, a Grzegorz zapraszał nauczyciela, aby go także skosztował.

— Dziękuję wam miły Grzegorzu — mówi nauczyciel — prosiłbym raczej o wodę, bo właśnie co dopiero jadłem to samo śledzia u siebie.

— A już to najgorzej — mówi Grzegorz — że po tym śledziu człek wypiłby i całą studnię. Ale zawsze to dobra ryba, a w poście smakowita potrawa. Jeno mi dziw, że śledź wygląda tak jak inne ryby z naszych rzek, a przecież go nie ma u nas jeno jak słyszałem dowożą go w beczkach do naszego kraju. Ciekaw też jestem, gdzie się te śledzie poławiają?

— Co to, to mogę wam dobrze rozpowiedzieć — prawi nauczyciel — bo właśnie o tem wczoraj w książce czytałem. Ciekawe to tam o śledziach stoją rzeczy. Śledź moi mili, poławia się w morzach dalekich, a już to najgęściej w tych, co leżą hen daleko na północ od Polski. A musicie wiedzieć, że śledź to jest ryba wędrowna i przypływa sobie z morza do morza.

— Jak to — pyta Grzegorz — to śledzie nie żyją ciągle na jednem miejscu, jeno pływają z morza do morza?

— A nie inaczej — mówi nauczyciel — wędrują one po morzach w ogromnych hurmach, że aż dziw zbiera o tem czytać. Bo to powiadam wam, śledzi tych płynie po morzu tyle naraz, że i na dwieście mil morze zakrywają. A tak to się jedno drugiego kupy trzyma, jakby nabił, że nieraz przydarza się na morzu, że taka ogromna mnogość tych śledzi płynie, że nawet okręta, jak na nie natrafią, nie mogą ruszyć z miejsca, tylko tak w tych śledziach ugrzęzną, jak gdyby w piasku.

— Ano patrzcie — mówi Grzegorz — toć ich tam musi być moc okrutna!

— A jużciż, że miliony milionów ich razem pływa — prawi dalej nauczyciel — a że to jeden obok drugiego, jakby zaklinował — więc też ociera się z nich łuska, a ta łuska spływając na wierzch morza, tak wygląda jakby morze całemi milami było srebrem posypane. Kiedy morze spokojne i jest pogoda, to śledzie płyną z wierzchu i błyszczą się z daleka, zaś w chmurny dzień to płyną głębiej pod wodą i poznać ich

tylko po smrodzie, który z siebie daleko do koła wydają. W nocy zaś płyną te śledzie do góry brzuchem a wtedy tak się błyszczą, że ludziom, co ich z daleka widzą z okrętów na morzu, zdaje się wyraźnie, jak gdyby morze gorzało.

— Proszę was, panie nauczycielu — odezwał się zdziwiony Grzegorz — zkąd się tam tego tyle bierze, toć je przecież, jak słyszałem, po całym świecie rozwożą, a w mieście widziałem w sklepie takie duże beczki ze śledziami, jak pół chałupy!

— Nic dziwnego — mówi nauczyciel — niezmierną moc śledzi zjadają ludzie na całym świecie, a jeszcze daleko więcej pożerają ich w morzu inne wielkie ryby, ale musicie wiedzić, że śledzie rozpładzają się w okrutny sposób. Z jednego śledzia zrodzi się w jednym roku 70 tysięcy młodych śledzi, bo każda samica śledzia, czyli ikrzak, kładzie tyle jaj w morzu, a z tych jaj wylęga się potem znowu niezmiernie dużo nowych śledzi, tak że ta ryba nigdyby nie wyginęła.

— Powiedzcież mi teraz — pyta dalej Grzegorz — jak ich to ci rybacy łowią — boć to na otwartem morzu podobno trudno.

— Śledzie — mówi pan nauczyciel — kiedy mają składać jaja, podpływają pod brzegi i wtedy ich z łatwością w okrutnej mnogości nałapać można. Jeżeli są blizko brzegu, to rybacy łowią ich zaraz z brzegu sieciami, a jak dalej, to podpływają do nich na dużych czółnach. Siecie te są takie wielkie, żeby niemi zakrył nieraz tysiąc sążni, i niemi to poławiają się śledzie. Łatwo to sobie wystawić, że jak taką siecią zagarnąć, to się setnie nabierze ryb. Nieraz na jednem miejscu tyle nałapią śledzi, że niemi 100 okrętów, a każdy z nich większy może niż wasza chata, uładują od dołu do góry. Wiecie, że jeden miljon znaczy tyle co tysiąc tysięcy, otóż nieraz rybacy z jednego tylko miasta 150 miljonów śledzi nałowią!

— Jezu Chryste — zawołał Grzegorz — tać to się aż głowa kręci od takiej niezmiernej sumy!

— Ano widzicie — prawi pan nauczyciel — ale też potem te śledzie po całusienkim świecie rozwożą, a zawsze to nie tak droga ryba.

— A z czego to te śledzie takie słone — pyta się dalej Grzegorz — przecież one z natury takie być nie mogą?

— Ma się wiedzieć, że nie — odpowiada pan nauczyciel — ale ich rybacy tak solą, aby się nie psuły i aby je można na długi czas zachować i w dalekie kraje rozsełać. Robią oni to w taki sposób: Skoro nałowią śledzi, zaraz im wyrzynają gardło, jak to widzicie na tym śledziu, co go jecie, wyciągają z nich jelita, płuczą w wodzie a potem solą. Na to solenie jest znowu wykopana wielka jama w ziemi, a w tej jamie jest woda z solą tak gęsto zmięszana, aby po niej jajo mogło pływać. Owoż w tę jamę sypią się świeże śledzie, i tam leżą przez piętnaście godzin, a potem pakuje się je do beczki i przysypuje się solą. Później kiedy ich już w świat rozsełać mają, to znowu ich drugi raz solą i tak ciasno w beczki nabijają, że jak z początku było czternaście beczek, to się z nich teraz robi tylko dziesięć. Zaś z kiszek śledzi, co je zaraz z początku wyciągają, robi się tłustość taka, co się zwie tran. Najwięcej i najlepszych śledzi rozsyła po świecie kraj, co się zwie Holandya, a leży od nas na północ. Dla tego też najlepsze śledzie zwią się holenderskie.

— Aha! — bądź zdrów holenderski śledziu! — zawołał śmiejąc się Grzegorz, bo już zjadł całego śledzia i chlebem wytarł miskę tak czysto, że się aż świeciła. Ale żart na bok, dziękuję wam bardzo pięknie, panie nauczycielu, żeście mi tę ciekawą historyę o śledziach opowiedzieli, bo to o wszystkiem zda się wiedzieć.

Zaraz też wstał pan nauczyciel i wyszedł razem z Grzegorzem z chaty, bo Grzegorz spieszył się do roboty, a pan nauczyciel do szkoły.

Wojtek ze Smolnicy.

Złote wesela.

List Łukasza z pod Kulikowa do Wojtka ze Smolnicy.

Kochany Wojciechu! Już miesiąc może temu, kiedy przejeżdżałem przez wieś Kłodno wielkie, co leży niedaleko Kulikowa — i widziałem tam takie piękne rzeczy, że zaraz umyśliłem sobie, donieść wam o tem do Dzwonka. Ale jak to bywa

zawsze przy gospodarstwie, człek nie tak łatwo zabrać się może do pióra, bo mu zawsze jakaś pilna robota czeka za plecyma.

Ale już teraz dłużej nie odkładam, jeno wam ten list tu spisuję, bo szkoda by było, aby inni poczciwi ludzie i czytelnicy Dzwonka nie wiedzieli o tem, co się działo w Kłodnie podczas mego przejazdu.

Otoż jechałem sobie koło parafialnego kościoła i patrzę a tu się ludzie roją, jakby w święto i słychać spiewy nabożne rozmaite. Zdybałem właśnie jakiegoś kmiecia, co biegł także co tchu do kościoła i pytam:

— A co to dzisiaj za uroczystość, że w kościele takie uroczyste nabożeństwo?

— Oho człowieku — odpowiada mi kmieć — dziś u nas tak, jakby wielkie święto, bo się odbywa uroczystość bardzo rzadka. Bo to widzicie żyją u nas we wsi dwie pary staruszków, małżeństwa, co już 50 lat temu minęło, jak się pobrały. Otóż musicie wiedzieć, że teraz odprawiają się ich złote wesela, które nasz ksiądz proboszcz Kowalski sprawia na dobry przykład wszystkim innym poczciwym ludziom.

— A kiedy tak — powiedziałem — to już ja muszę także zobaczyć tę uroczystość i tych staruszków, którym pan Bóg dozwolił dożyć 50 lat w dobrem i przykładnem małżeństwie!

I zlazłszy z woza poszedłem razem z kmieciem do kościoła. A właśnie teraz wprowadzali obie pary do świątyni, aby je przed ołtarzem powtórnym ślubem połączyć. Patrzę, a tu idzie cała processja, a taki to był nabożny i piękny widok, że człowiekowi jakoś serce lubo zapukało... Bo to najprzód szło 4 księży i trzech kleryków, w kapłańskie szaty przyodzianych, a za nimi znowu w parach, gdyby wojacy, dreptały dziatki szkolne z pięknemi bukietami z kwiatów w ręku — a potem szło dwie pary staruszków jak gołąbki siwych, pięknie przystrojonych. Byli to właśnie ci staruszkowie, co obchodzili złote wesela, a zwali się Michał i Teresa Juszczyszyny i Kazimierz i Marja Patynkowie. A koło tych staruszków szły ich dzieci, wnuki i prawnuki, a za nimi gromada kłodnicka i ludzi z innych wsi jak maku.

— Miły Boże! — myślę sobie — co to za dzień radośny musi być dla tych staruszków, kiedy po pięćdziesięciu latach po pierwszym ślubie, po takiem długiem życiu w zacności idą znowu w pośród swych synów i wnuków do ołtarza, aby święty ślub małżeństwa znowu po raz drugi odprawić. Jaki to piękny przykład dla wszystkich mężów i żon!

Przed samym kościołem zatrzymał się xiądz proboszcz i miał do staruszków piękną przemowę, tak że się ludzie popłakali a i mnie się jakoś łza w oku zakręciła. W tej mowie swojej błogosławił xiądz Kowalski obom parom i stawił je za przykład dla innych, aby każde małżeństwo w pobożności i uczciwości żyło ze sobą i aby kiedyś także mogło obchodzić taką piękną uroczystość.

Potem wprowadzili księża staruszków do kościoła i tu odmówili nad niemi modlitwy i odnowili ich ślub małżeński, który obie te pary dochowały wiernie i poczciwie przez półsetek lat. Zaś potem dał xiądz proboszcz obom parom piękne laski z złoconemi krzyżykami, a to na ten znak, że pan Bóg w nagrodę za ich zacne życie w świętym stanie małżeńskim użyczy im swej łaski i podpory na stare lata. Potem znowu odprawili xięża sumę, a po sumie rozdali między lud dużo obrazków na pamiątkę tych złotych wesel, a na każdym takim obrazku wypisane były imiona i nazwiska staruszków i rok kiedy się urodzili i pobrali.

Tymczasem kiedy się to działo w kościele państwo z Kłodna postarali się o to, aby staruszkom w ich chatach wyprawić gody. Poprzysełali więc mnóstwo smakowitego jadła i napoju i poprzystrajali pięknie chaty, a gdy staruszkowie wrócili do domu, zdziwili się ogromnie, gdy naraz taką obfitość wszystkiego znalezli u siebie. Wtedy rozpoczęły się gody weselne, na których nietylko gromada kłodnicka ale i ludzie z innych wsi wraz z xiężmi w uczciwości się zabawiali. Daj Boże, aby nasze wszystkie małżeństwa tak pięknie z sobą żyli i takiego błogosławieństwa Bożego się doczękali!

A teraz pozdrawiam was serdecznie.

Wasz kum i przyjaciel!

Łukasz z Kulikowa.

Cudowny skutek modlitwy.

Legenda.

W starym Krakowie, gdzie to jak w Rzymie domów Bożych pełno, stoi piękny kościół św. Katarzyny, fundacyi jeszcze króla chłopków, Kązimierza Wielkiego, który że już ze starości znacznie nachylał się do ziemi — nie dawnemi czasy ze składek narodu odbudowano. Na murze krużganku tego kościoła jest obraz Pana Jezusa miłosiernego. Dał go wymalować Izajasz Boner, mąż wielce uczony i świątobliwy zakonnik, po śmierci policzony w szereg błogosławionych i świętych patronów polskich. Obraz ten wsławiony jest mnogiemi cudami a między innymi opowiadają o nim taką legendę.

Kawał drogi od Krakowa leży miasteczko Wieliczka, sławne skarbami soli, jakie się tam znajdują, nie tylko w Polsce ale i w całym świecie. Tam przebywał górnik, który się trudnił wykopywaniem soli. Był to człowiek wprawdzie ubogi ale uczciwy, pracowity i nabożny. Szczególnie miał on nabożeństwo do owego obrazu na murze, a ilekroć przybył do Krakowa, nie zaniechał pomodlić się szczerze przed Jezusem miłosiernym, dając ofiarę, na jaką go stało, najczęściej dwie świece do ołtarza. Ale Bóg wszechmocny chciał okazać łaskę swoją i opiekę tym, którzy w Nim ufają, imienia Jego wzywają i przykazania święte strzegą.

Stało się, że gdy raz kopał pod ziemią, urwała się wielka bryła soli i zasypała go w szybie. Niemożebny był prędki ratunek i wszyscy myśleli, że zginął. Żona górnika, także uczciwa i pobożna kobieta, opłakawszy gorzko swego męża, chodziła czerpać osłodę i pociechę w żalu swym tam, zkąd i mąż jej pocieszony odchodził i modliła się gorąco przed wizerunkiem Chrystusa miłosierdzia. Aż oto później, inni górnicy kopiąc na tem samem miejscu, na którem tamten nieszczęśliwy żywcem pogrzebany został, usłyszeli głos z pod ziemi.

Przestraszeni bieżą do ojca Bernadyna, który kopalniami Wieliczki zarządzał i opowiadają mu dziwny wypadek. Ten zalecił dalsze kopanie i po niejakim czasie wygrzebano owego dawno zasypanego górnika żywego i całkiem zdrowego.

Na wieść o tem wielkie się stało zbiegowisko ludzi, a górnik jął im opowiadać, jak przez długi czas pod ziemią siedział, jak ciągle obraz miał przed oczyma wraz z ołtarzem, przed którym dwie świece zawsze się paliły, jak codziennie znajdywał na ołtarzu bochenek chleba na pożywienie.

Cud ten, przyszedłszy do Krakowa, zaprzysiągł a wraz z nim wielu innych, którzy się na to własnemi oczyma patrzali, i dotąd jeszcze rozpowiadają o nim ludzie w Krakowie a i w papierach klasztornych o tem czytać można.

Otóż widzicie — kochani ludkowie — skutek szczerej modlitwy, odmawianej z wiarą i ufnością nietylko ustami ale i żywionej w sercu, przepełnionem miłością stwórcy swego, i dowód że kto w Bogu pokłada nadzieję, tego On nie opuszcza, jak to prześlicznie mówi święta pieśń nasza:

Słuchaj, co mówi Pan: kto mię miluje.
A ze mną sobie szczerze postępuje,
Ja go też także w jego każdą trwogę
Nie zapamiętam i owszem wspomogę.

Wincenty z Podkamienia.

Jeszcze o pszczołach.

Dalsza rozmowa Walentego z Piotrem.

Piotr. Jużeście mi zeszłym razem na rozum wyłożyli, czem i jak karmić, ale powiedzcie mi, dla czego memu ojcu cała pasieka z zagranicznego miodu zginęła?

Walenty. Przyczyna tego niekoniecznie pochodzi od miodu zagranicznego, bo i od naszego własnego miodu może pasieka wyginąć, jeżeli miód pochodzi z pni chorobliwych.

Piotr. Tegobym się nie spodziewał, że i pszczoły chorują, coż to za choroba taka?

Walenty. Ta choroba nazywa się „zgniliec czerwu“ a dla tego tak się nazywa, bo pszczoła sama wprawdzie zdrowa, ale czerw, to jest ten robaczek biały, który się w komórkach woskowych wychowuje, i który za 21 dni, rachując czas od jajka, w pszczołę się obróci, ten robaczek zaumrze i przechodzi

w zgniliznę. Przez to pszczoły się pomnożyć nie mogą i pień w krótkim czasie zginie, a miód zwykle zostawia, bo niema go komu zjeść.

Piotr. A ha! a ludzie pewnie tym pozostałym miodem inne pnie karmią i sprzedają, i tak nietylko u siebie tę słabość rozpowszechnią ale i po całym kraju.

Walenty. Nie inaczej. Ale nie dość na tem, żeby miodem takim nie karmić, ale trzeba i wszystko co do tego chorego ula należało, i sam nawet ul spalić. Bo jeżelibyś kiedy rój do tego ula wsadził albo pszczoły inne do niego zalatywały, jak to się często trafia, to pozanoszą chorobę do innych pni, a rój w takim ulu z pewnością zginie. Bo to jest choroba strasznie zaraźliwa, niech was Bóg broni od takiego nieszczęścia!

Piotr. A tożeście mi strachu napędzili, aż mię mrowię przeszło. Bo ja karmił do tego czasu zawsze miodem z pni spadłych i sprzedawałem jeszcze sąsiadom na karmę. Czy nie możnaby jakoś tę chorobę poznać, żeby człowiek na drugi raz mógł się tego wystrzegać?

Walenty. Jeżeli trzymasz pszczoły w ulach Dzierżona, to bardzo łatwo, bo nie potrzebujesz tylko wyciągnąć plastry i zaraz zobaczysz jaki tam czerw. Jeżeli w miejscu, gdzie się powinien czerw znajdywać, t. j. poniżej miodu znajdziesz komórki zakryte, a we środku tych dziureczki małe jakby od szpilki, a gdy się taka komórka odkryje, a na dnie będzie masa brunatna, ciągnąca się — będzie to znakiem zgnilcu; a czem więcej takich komórek będzie, tem ci gorzej. W prostym zaś ulu, nie poznasz inaczej chyba, jeżeli usłyszysz z ula smród podobny do tego z ścierwa a pszczoły leniwo w pole idą, i coraz ich mniej będzie w ulu Dla tego jeżeli ci jaki pień w zimie lub z wiosny zginie a miód zostanie, to nie używaj miodu pierwej do karmy, dopóki nie przeglądniesz całej woszczyny i przekonasz się, że pień był zdrów, bo czasem pszczoły, osobliwie w leżakach, giną z głodu po jednej stronie, kiedy po drugiej stronie jeszcze dużo miodu zostaje.

Piotr. Coż by to za przyczyna była?

Walenty. To pochodzi ztąd, że pszczoły w leżaku zwykle w środku koło oczka zimują, i coraz dalej za miodem w jedną

stronę się posuwają. Gdy zaś po tej stronie miód zjedzą, a na dworze mróz ciśnie, nie mogą przeto udać się w drugą stronę, i tu giną a miód po drugiej stronie zostaje. Dla tego w ulach Dzierżona po nad plastrami zostawia się szparka ćwierć calowa, ażeby pszczoły górą mogły i w zimie na drugą stronę do miodu się dostać.

Piotr. Niech wam Bóg da zdrowie za naukę, może człowiek tam i jakiś pniaczek uratuje, ale prosiłbym was jeszcze, czybyście mi nie mogli co powiedzieć o ulach Dzierżona, o których często spominacie, że w nich tak łatwo wszystko się robi?

Walenty. O tem by trzeba dużo gadać, a ja muszę iść posłuchać, czy moje pszczoły żyją, bo to już mój taki zwyczaj, że w zimie i z wiosny póki pożytku jeszcze nie ma, przysłuchuję się im co dzień, a jeżeli który tam już mało brzęczy, albo i przestanie całkiem gadać, wnoszę go zaraz do chałupy, otwieram, wygartuję dobrze śmiecie ze spodu i stawiam do góry dnem, ponalewam pomiędzy plastry letniego miodu, a jak go ciepło izbowe ogarnie, zwykle przychodzi do siebie, wtenczas usuwam plastr miodu, i stawiam do komory gdzie pozostaje póki nie pocieplеje, kiedy go można na dwór wynieść.

Jeżeli kiedyś znów się zejdziemy, pogadamy i o ulach Dzierżona, a teraz bywajcie zdrowi.

Piotr. Niech Bóg prowadzi. *Stefko ze Lwowa.*

RÓŻNOŚCI.

Zaraza. W Petersburgu, co to jest stolicą moskiewskiego kraju, gdzie car moskiewski mieszka, wybuchła zaraza na ludzi. Bardzo wiele tam ludu już wymarło, a co najgorsza, to to, że lekarze sami nie wiedzą, co to jest za choroba, bo dotąd się jeszcze między ludźmi nie przydarzała. W Petersburgu strach wielki, bo ludzie giną bardzo a rady na to dobrej nie ma. Dla tego też pisali z Petersburga do rozmaitych krajów, aby tam posłać mądrych doktorów, coby tę chorobę dokumentnie rozpoznali i jaką radę na nią wymyślili. Zaraz ci też wyjechali z Anglji, Francji i z Niemiec a z Polski także lekarze do tego Petersburga. Ze Lwowa pojechało też dwóch doktorów dobrych, aby tam poratować swoją radą. A czego najbardziej inne kraje się obawiały, to tego, aby ta choroba nie przeszła także do nich, ale za łaską Bożą nie ma w tem

żadnego strachu, bo pisali już z Moskwy na pewno, że choroba ta nie rusza się z Petersburga, jeno tam się sroży, a za Petersburg ani na bok się nie puszcza Więc też nie ma i obawy, aby się gdzie indziej pokazała. Zaś powstała ta choroba w Petersburgu najbardziej z niechlujstwa i opilstwa, bo lud moskiewski strasznie nałogowy na trunki rozmaite a już najbardziej na gorzałkę. Widzicie więc, kochani ludzie, jak ta wódka przeróżne nieszczęścia i straszne klęski przynosi!

We Lwowie dobrzy panowie, uczeni i profesorowie, wiele dobrego zrobili dla nauki czeladzi, za co im niech pan Bóg zapłaci. Oto ogłosili oni, że o tej a o tej godzinie w każdą niedzielę i święto czytać będą o rozmaitych ciekawych rzeczach i naukach, a komu się żywnie podoba, może przyjść i słuchać bezpłatnie. To też w każdą niedzielę i każde święto po południu garnęła się czeladź i rzemieślnicy do sali ratuszowej, a tam ci łaskawi panowie profesorowie czytali im prześliczne rzeczy z rozmaitych nauk, o których każdemu człowiekowi wiedzieć potrzeba i należy. Więc też zamiast hulać po szynkach, to lwowscy czeladnicy spędzili na nauce czas świąteczny przez całe zapusty i przez post, a teraz każdy z nich dwa razy już mądrzejszy niż był przed tem. Piękny to przykład i dla was kochani ludkowie abyście korzystali z dobrej woli tych ludzi, co was chcą pouczyć o świecie i co jest na świecie, dla tego też zamiast w niedzielę i święta cały boży dzień przesiedzieć w dusznem i śmierdzącem karczmisku, powinniście spędzać czas na dobrem czytaniu i rozumnych pogadankach, a przecież w każdej wsi znajdzie się taki dobry człowiek, czy to xiądz proboszcz czy nauczyciel, co wam albo książki pożyczy albo na takiej pogadance rad opowiadać albo czytać będzie o przeróżnych pouczających rzeczach. Do nauki jak do wszystkiego jeno dobrej woli i pilności potrzeba — a Bóg dopomoże.

Chrystus zmartwychwstał!

Niebawem wszystkie dzwony w świątyniach ogłoszą wam, mili bracia, zmartwychwstanie pańskie, toć i nasz Dwoneczek papierowy dodaje swój głos serdeczny na rozsławienie wielkiego święta zmartwychwstania! Jest zwyczaj na naszej ukochanej polskiej ziemi, że w dzień tej świętej pamiątki składają sobie życzenia wszyscy krewni, przyjaciele i znajomi, dzieląc się po staropolskim obyczaju jajem święconem. Toż i Dzwonek, wasz dawny i szczery przyjaciel spieszy z życzeniem serdecznem do waszych chatek: Oby razem z powstającym z grobu Zbawicielem zmartwychwstały w naszej ojczyźnie dawne cnoty, oby zakwitła szczęściem i dobrą dolą od końca do końca! Niechaj przepadnie wszelkie licho i wszelka złość ludzka, którą daj nam Zbawicielu nasz święty pokonać tak szczęśliwie, jak Ty ją pokonałeś! Wesołych świąt najdrożsi bracia!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.